**Paweł Szumił,**

**TransMatrix, Walrus**

BAJKI PRZY OGNISKU

Dodatkowy tom cyklu

SŁOWO O SMOKU

Tłumaczył z rosyjskiego

**Jacek Izworski**

Tytuł oryginału**:** БАЙКИ У КОСТРА

Paweł Szumił

PRZEDMOWA

„BAJKI PRZY OGNISKU” nie są opowiadaniami w ścisłym znaczeniu tego słowa, choćby dlatego, że nie napisałem samodzielnie wszystkich. Po prostu co dociekliwsi czytelnicy cyklu zaczęli zadawać mi pytania typu: „A co takiego strasznego stało się na Kwampie?”, ‘Dlaczego Szkodniczki nazwano Szkodniczkami?”, czy „Co się stało na Ganimedzie?”. Raz czy dwa na nie można odpowiedzieć, ale powyżej trzech – to już zbyt wiele. Jak śpiewają mądrzy Brytyjczycy „Five is a little hundred” („pięć to mała setka”). Lepiej odpowiedzieć wszystkim od razu i właśnie tu są przed wami odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania. A jeśli po tych odpowiedziach pojawią się u was nowe pytania – to już nie będzie moja wina.

**Bajka I**

JAK SZKODNICZKI TRAFIŁY DO ZASTĘPU

(opowiada Montan)

Szkodniczki to biocybery-androidy, Miri-one i Miri-two, zrobione przez Komandora. On je nazywa siostrzyczkami albo Miriameczkami, a one jego ojcem, choć między sobą mówią „papa Carlo”, a czasami „wstrętny papa”. Daję słowo! Sam słyszałem. Wiadomo – Szkodniczki. Gdzieś jeszcze jest trzecia Miriam, no i ta prawdziwa, człowiek, która była prototypem. Mają z nimi jakieś skomplikowane stosunki. Oczywiście, a któż ma z nimi proste? Chociaż, w zasadzie to dobre dziewczyny – pod warunkiem, że schowają pazurki. Ja żyję z nimi całkiem nieźle, będę więc nazywał je siostrzyczkami.

Co? Jak trafiły do Zastępu? Nie, gdy Zastęp powstawał, nie było ich jeszcze na świecie. A kiedy Komandor przyjął je do Zastępu? Zapytajcie o to albo jego samego, albo Granita. On wie, ale milczy. Ja zobaczyłem je pierwszy raz na Mezozojce, na drugi dzień po wylądowaniu. Czytaliście, co tam było? Ha! Gigantyczny skandal dyplomatyczny. Nie będę o nim opowiadał, gdyż w relacji traci się cały smaczek, to trzeba było zobaczyć! W paru zdaniach? Dobrze. Wyobraźcie sobie: stoimy w szeregu, przed nami Łacinnicy, nieco z boku dyplomaci w smokingach, gra orkiestra (muzyką to trudno nazwać, ale brzmi przekonywująco), lady Anna już ma zamiar zacząć uroczystą przemowę – a tu nagle Lobasti jak nie zaskrzeczy i urodzi małego smoczka! Oczywiście, wszyscy nasi do niej, Łacinnikom to też ciekawe – kilku z nich już „zapisało się” do smoków, tworząc z naszymi Zgubami coś w rodzaju rodziny – i też do niej!. Zrobiło się straszne zamieszanie, nic nie widać i z przemowy nici. A jak to się wszystko odbyło, obejrzałem dokładnie w wiadomościach telewizyjnych.

A następnego dnia pojawiły się siostrzyczki. Wystrojone w kolorowe kombinezony, obwieszone bronią. Chodzą czujnie, strzelają oczami na boki. To jeszcze nic by nie było, ale Łacinnicy wzięli je za swoje i zaczęli z nich żartować w stylu: „A z jakiegoż to ogródka uciekły dwa takie sympatyczne postrachy?”. To dziewczynki podnieciło. I nagle zjawił się jakiś kierownik i zaczął je wypytywać: kim one są i co tutaj robią. A one mu odpowiadają w stylu: przez który otwór on się pojawił na świat, gdzie one go mają i tak dalej, okraszając to wszystko odpowiednimi gestami i mimiką. Kierownik zwołał ludzi i rozkazał: „Usuńcie te małpy ze strefy kontaktu i dowiedzcie się, kim one właściwie są”. Uch, co się wtedy zaczęło! Siostrzyczki rozrzuciły ośmiu chłopów jak kręgle. Ale gdy na nie narzucono sieci, zgarnięto je jak ryby. Bo te sieci były bardzo mocne, robione na duże dinozaury.

A po bójce trzydziestu chłopów ogląda swoje stłuczenia, siostrzyczki siedzą na ziemi ze związanymi rękami i nogami, zaś ów kierownik ogląda ich broń i myśli, że najwyższy czas zastrzelić się z tej broni, gdyż dojrzewa olbrzymi skandal dyplomatyczny. Ale któryś ze smoków komunikuje, że widzi tą parę pierwszy raz w życiu. Siostrzyczek wynoszą poza strefę kontaktu i pytają, po co one tutaj przybyły. One uczciwie odpowiadają, że chciały pokroić na kawałeczki pewnego smoka, ale porozmawiały z nim i rozmyśliły się. Podobno ktoś dostał wtedy zawału serca; na szczęście blisko była biowanna i go wyleczyli. Siostrzyczki zrozumiały, iż sprawa jest poważna: ludzie giną, i zaczęły wzywać Komandora, który przesłał się już przez zero-t na Kwantor w ważnych sprawach. Kuter na wezwanie siostrzyczek nie odpowiada, nie ma ich w spisie członków Zastępu. Wczuwacie się w ich położenie? No i siostrzyczki nadały SOS w najszerszym paśmie fal radiowych, chcąc się połączyć ze znającymi ich smokami. Wtedy dopiero się zaczęło! Lobasti zaznajomiła już z tym sygnałem miejscowych, więc wybuchła ogólna panika. W dodatku ci ze względów bezpieczeństwa bali się dopuścić smoki do celi – a nuż te dwie psychopatki zamierzają zabić jeszcze jednego smoka?

Po pół godzinie wszystko się naturalnie wyjaśniło. Ale pozostał jeden malutki sekrecik. Nie wiadomo dlaczego Lobasti za całe zajście obwiniała siebie, a Komandor ją pocieszał. Granit też się obwiniał, wierzę mu, to poważny chłop. Ale milczy, coś ukrywa… Nie, oczywiście, że Lobasti i tak w całą tą historię jest wmieszana po uszy, ale jakiś niuansik pozostał. Coś tam między nimi było.

Co? Nie, siostrzyczki też nie wiedzą. Pytałem je o to później. Od tego czasu są członkami Zastępu i przezwano je Szkodniczkami. Co? Nie, naprawdę są szkodniczkami, ale korzyści z nich jest także dużo. One patrzą na świat pod innym kątem. I sam Komandor mówi, że w każdej ekspedycji powinien być zadowolony z życia sceptyk.

A statuetka? Tak, została wyrzeźbiona z najprawdziwszego zęba Komandora. Nie, Miri-two nie wybiła mu zęba. Jak to, skąd wiem? Byłem tam! Pasy pękły, Komandor wypadł z fotela, wyrżnął w ścianę i wybił ząb. A Miri-two ząb podniosła. Ale to już zupe-ełnie inna historia…

*Dopisek autora: W rzeczywistości pasy nie pękły, a po prostu Komandor przez lenistwo nie przywiązał się. Montan trochę oszukuje.*

**Bajka II**

KWAMPA, CZYLI JAK LUDZIE UTARLI NOSA SMOKOM

(opowiada Dara)

– Układamy ognisko! Razem, wspólnie! Nie, wszystkiego od razu nie wkładajcie do ognia, zostawcie trochę na potem. Kto zapala? Stalsey? Gdzie Stalsey? A, tu jesteś, ty kręci-ogonku!

Stalsey, kręcąca na czubku ogonka dużą plastikową miskę, obejrzała się, wyciągnąwszy szyję i nadstawiwszy uszy. Miska spadła, dźwięcznie uderzyła o ziemię i potoczyła się.

Po pięciu minutach ognisko jasno płonęło, a czarny smoczek Remi wycierał pękiem trawy sadzę z noska Stalsey. Inne podciągały bierwiona i pniaki, rozsiadając się wokół ogniska.

– Ciociu Daro, opowiedz nam o dinozaurach!

– Nie, o tym, jak smoki wylądowały na Sekondzie.

– Ty mądralo! Na Sekondzie pierwsi wylądowali ludzie!

– Cicho, ladies and gentelmans! – Dara podniosła łapę. – Wiecie, co to jest duplikator Trepeda?

– Ta-a-ak! – odezwały się chórem smoczki.

– A kto wie, dlaczego duplikator wynaleźli Łacinnicy, a nie my?

Zmieszane smoczki popatrzyły jeden na drugiego.

– Nikt? Więc słuchajcie. Dzisiaj opowiem o tym, jak wielkie odkrycie przeszło smokom koło nosa. Kiedyś dawno temu młode smoki – a starych wtedy nie było – koło pewnej sympatycznej gwiazdeczki zbudowały poligon kwantowej metryki przestrzeni Armana.

– Kwampę?

– Zgadza się. W skrócie właśnie Poligon KwaMPA. – Dara koniuszkiem skrzydła pogłaskała pytającego po ramieniu. – Komandor poradził zbudować go jak najdalej od Ziemi, a miejsce wybrać za pomocą czujnika przypadkowych liczb na podstawie licznika kwantów światła gwiazdy. Arman tak właśnie zrobił i los padł na planetę, którą odtąd zaczęto nazywać Kwampą. Lepiej byłoby, gdyby to była którakolwiek inna planeta bez atmosfery i oceanów. Z powodu Kwampy rozpalił się mały skandal z ludźmi, i skończyło się na tym, że kolonia na Strefie istnieje do tej pory, ale to już zupełnie inna historia. A wybierać inne miejsce Komandor zabronił, mówiąc, że wtedy wybór już nie będzie przypadkowy. No i na Kwampie wybudowano potężną stację energetyczną, uruchomiono aparaturę do badania metryki przestrzeni na poziomie kwantowym – i zaczęto doświadczenia.

– Ciociu Daro, a po co planetę wybierano przez losowanie?

– Bardzo dobre pytanie! Słyszeliście o wielości zamieszkałych continuów? No więc wyobraźcie sobie, że w dwóch sąsiednich continuach uczeni równocześnie zaczną doświadczenia. Może grzmotnąć aż hej! Komandor twierdzi, że u ludzi raz grzmotnęło i było wiele ofiar.

– A u nas? – zapytała ciemnozielona smoczka. Dara ciężko westchnęła.

– A u nas już dwa razy grzmotnęło. Widoczne fizycy mają taki los. Ale ofiar u nas nie było! I właśnie o tym chcę opowiedzieć. Byłam przy tym, ale bardzo młoda i praktycznie jako statysta. Resztę opowiedział mi Komandor, więc przekażę to w jego relacji.

– Mistrzu, pobudka!

– Węgielku, jeszcze wcześnie. Całkiem ciemno…

Nim zdążam poskarżyć się na los, już leci we mnie pas z kieszonkami. Próbuję go złapać, ale z niedomkniętej kieszonki wysypują się na koc orzechy kokosowe.

– No i masz… Orzeszki wysypałaś – zaczynam ględzić.

– Mistrzu, stan wyjątkowy!

Nie wiem, kiedy zapinam pas i wkładam okulary. Pod tylną łapą chrzęści skorupa orzecha, wbijając się między palce. Skacząc na trzech łapach patrzę, co jeszcze należałoby wziąć ze sobą. Plecak? Chyba tak… Macham tylną łapą, strząsając skorupę, a przednimi wyciągam już z szafy awaryjny plecak. Rzucam spojrzenie z ukosa na żonę: jak ona przyjmie moje działania. Massaraksz! Miałem nadzieję, że pochyli głowę na bok i zmarszczy nosek – a ona tańczy z niecierpliwości. To znaczy, że plecak naprawdę jest potrzeby.

Drzwi zero-kabiny niezamknięte. Pędzimy tam oboje. Na displayu same z siebie wyskakują współrzędne. Można byłoby zadawać je i przez okulary, ale zazwyczaj tak się nie robi. Prefiks tranzytu w adresie zauważam, zanim różnica ciśnień bije po uszach i żebrach. I od razu drugi przerzut. Pluśnięcie zero-t jest tak silne, jakbym dostał średniej siły cios w głowę. I już jesteśmy gdzieś na peryferiach zamieszkałego kosmosu.

Uruchamiam w okularach mój domowy wyrób: wyznacznik współrzędnych i stanu otaczającej cyber-sieci. Komputer okularów znajduje w eterze kanały sieci komputerowej, po czym do pracy przystępuje mój empiryczny algorytm przesłuchiwania jeńców. Wyjaśnia się status komputera, jego położenie, przeznaczenie, sąsiedzi i mnóstwo innych szczegółów. Potem analogicznej procedurze podlegają owi sąsiedzi. Po paru sekundach moje okulary wiedzą już wszystko o otaczającej przestrzeni i sieci komputerowej. Przed oczami wisi trójwymiarowy schemat najpierw całej oswojonej części kosmosu, potem układu gwiazdy o nieznanej mi nazwie, planety i wreszcie plan bazy, typowy PNBK-2(D). Program przeszedł chrzest bojowy. Włączam kolejny etap analizy. Gdy gdzieś jest stan wyjątkowy, część sieci komputerowej przełącza się na działanie nietypowe i często wystarczy jedno spojrzenie, żeby zrozumieć istotę awarii. Ale tu cała sieć jest spokojna: ciemnozielone pola typowych działań. Baza jest w porządku, więc stan wyjątkowy jest gdzie indziej. Węgielek biegnie korytarzem, ja tuż za nią. Aha! Centrala informacyjna. Mądrze! Przy pulpitach dwa młode smoki.

– Więc? – pytam.

– Poligon KwaMPA zamilkł.

– Kiedy?

– Sześć godzin temu. Potem stopniowo zamilkły pozostałe obiekty zero-t w tamtym systemie. Nikt z fizyków nie powrócił.

Och, mamo…

– Dajcie na ekran schemat układu.

Smoki rozumieją wpół słowa. W czerni ekranu zawisa kulka gwiazdy, orbity planet, zielone gwiazdeczki stacji i baz. Pamiętam ten układ.

– Usunęliście pas asteroidów?

– Prawie. Wszystkie ważące powyżej pięciu ton połączyliśmy w jedną kupę.

Patrzę na schemat układu i czegoś w nim nie rozumiem.

– Gdzie Kwampa?

– Tutaj. – Jeden ze smoków posłużył się promieniem świetlnym z okularów jako wskaźnikiem. – Usunęliśmy ją z płaszczyzny ekliptyki.

Sam im to zasugerowałem, żeby położenie planety w tym continuum nie zgadzało się z pozostałymi. Ale nie spodziewałem się, że moja rekomendacja zostanie aż tak maksymalnie wypełniona: planeta krąży teraz po orbicie niemal prostopadłej do płaszczyzny!

– Kiedy stacje zamilkły?

Smoki puszczają coś w rodzaju filmu animowanego. Stacje, jedna po drugiej, na sekundę wybuchają zielonymi gwiazdeczkami i ciemnieją, jakby jakaś kulista fala rozprzestrzeniała się z punktu, położonego gdzieś na poligonie.

– Jakie doświadczenie tam przeprowadzano?

– Brak informacji. Przewidziana była nowa seria doświadczeń z definicją normalnej w czwartym wymiarze - odpowiada smok przy pulpicie.

Nic nie rozumiem, ale nie okazuję tego po sobie.

– Potrzebny mi jest schemat konstrukcji oraz informacja o mocy źródła energii. I co jeszcze?... Aha, najmocniejszy grawiteleskop.

– Podarowałeś go ludziom – wtrąca Węgielek. – Teleskop będzie. Gdzie go dostarczyć?

Obliczam w pamięci. Nie, chyba lepszy będzie zwykły teleskop. Ale od gwiazdy do Kwampy są dwie jednostki astronomiczne, a patrzeć trzeba będzie z bezpiecznej odległości, około stu j.a. Na tle gwiazdy nic nie rozróżnimy. A jeśli i tam dojdzie ta nieznana fala wybuchowa, każdy teleskop zdechnie, czy zwykły, czy grawi. Potrzebny jak piąte koło u wozu.

– Później powiem. – mówię wymijająco. – Teraz wyślemy w rejon Kwampy zwykłą sondę.

Wzywam cybera, wręczam mu przenośną stację łączności zero-t i wysyłam go do najbliższej kabiny zero-t, po czym zwracam się do smoczki przy pulpicie:

– Bądź tak miła i wyrzuć go o pięćdziesiąt megametrów od Kwampy. Jak się nazywasz?

– Dara. W układzie nie ma już ani jednej zero-latarni. Wykorzystam latarnie przy sąsiednich gwiazdach, ale dokładność zrzutu wyniesie plus-minus czterdzieści megametrów.

– Więc wyrzuć o sto.

– Zaraz… Mam! Postaram się wprowadzić go na orbitę kołową wokół planety, ale przy tak niskiej dokładności…

Dalej nie słucham smoczki, łączę się z cyberem, każę mu przekazać widok ogólny planety..

Uch ty! Planeta zamieniła się w czarną jak węgiel kulę. Dzienna strona nie odbija ani światła zwykłego, ani podczerwonego. Absolutnie czarne ciało o temperaturze zera absolutnego!

Cóż to takiego Arman zrobił z planetą?...

Cyber dziesięć minut przekazuje informację, po czym milknie. Dara porusza mięśniami policzków, ale milczy, a jej kolega komunikuje, że dane o konstrukcji są już na ekranie. Patrzę na moc generatora. Nie poskąpili… Massaraksz! Od dwustu lat nie mogę przekonać fizyków, że ordynarna siła nie zastąpi głowy na karku!

Przypuśćmy, że cała energia poszła w falę. Obliczam w przybliżeniu, w jakiej odległości ta fala, jakiegokolwiek rodzaju by nie była, osłabnie do bezpiecznego poziomu. Wychodzi około osiemdziesięciu j. a. i to przy założeniu, że fala nie wywołuje efektu katalitycznego. A jeśli wywołuje? Nie, wątpliwe. Na planetę urządzeniu wystarczyło energii, ale gwiazda przecież nie poczerniała… Hm, a w jakich warunkach może poczernieć planeta?

– Mówiłem ci, Piotrusiu – mruczę pod nosem – że nie trzeba było palić gumy.

– Co? – nadstawia uszu smoczka.

– To ja do siebie, do siebie…

– Cyber zamilkł… – nerwowo ruszając ogonem mówi zielony smok. Skądś go znam, usiłuję sobie przypomnieć, jak się nazywa. Green? Tak, właśnie Green.

– Węgielku, jak długo cybery wytrzymały w kosmosie wtedy na Sekondzie?

– Co najmniej miesiąc, dopóki szukałeś Sandry. A później to już nie wiem.

– A ten zdechł już po dziesięciu minutach… Dzieciaki, dajcie mi pełny spis istot rozumnych TAM oraz protokół wszystkich tamtejszych przemieszczeń przez zero-t. – Dara mi go przygotowuje, potem przebiegam po nim oczami i mówię: – Dobrze.

– Co: dobrze?

– Dobrze, że nie ma ludzi. Dara, sprawdź jeszcze raz, czy na planecie nie było turystów.

Naprawdę pomyślałem, że dobrze, iż na Kwampie było tylko osiemnaście smoków. Byłem parę razy na zebraniach fizyków – tam bywało ich nawet ponad stu, z trudem mieścili się w salach. Trzeba będzie to wszystko przemyśleć, a na razie zająć czymś młodzież. Niech wyśle drugą sondę, zabezpieczoną przed wszelkimi rodzajami promieniowania. I niech na peryferiach układu umieści zero-latarnie dla dokładnego pozycjonowania przesyłek.

Arman przez ostatnie dwa lata zaszedł bardzo daleko. Patrzę na schemat jego konstrukcji – i nic nie rozumiem. Ze wzorów też. Pasożyty niedawno zrewolucjonizowały matematykę, zastępując stare znaki nowymi, podobno bardziej zrozumiałymi. Podobno teraz wzór zapisuje się strukturalnie. Chętnie poodrywałbym im ogony.

Próbuję podejść z drugiej strony. Jak zrobić ciało absolutnie czarne?

– Mistrzu, spójrz na to – słyszę głos Węgielka.

– Później.

– Później sonda zdechnie. A to ważne.

Roztrącam przybyłych w międzyczasie ratowników w niezgrabnych skafandrach ochronnych i przepycham się do ekranu.

– Gdzie mam patrzeć?

– Na ekran. Masz przed sobą Kwampę.

– Nie widzę jej.

– O to właśnie chodzi. Zrobiła się przeźroczysta. Absolutnie przeźroczysta.

– Może po prostu się rozpadła?

– Nie. Rozjaśniała się stopniowo. Pole grawitacyjne w ogóle się nie zmieniło. Ona tam jest.

Studiuję koniec swojego ogona. Drga nerwowo, a to zbija mnie z pantałyku.

– Zamilkła – komunikuje Węgielek. Oglądam się. Rzeczywiście ekran zgasł.

– Jak długo działała?

– Około godziny. Była jednak znacznie bliżej planety, niż ta pierwsza. Czujniki na powierzchni wysiadły prawie od razu. Pancerz chroni, ale niedługo. A znanego niebezpiecznego promieniowania nie wykryto ani wtedy, ani teraz.

To jakieś brednie. Przed czwartym wymiarem nie obronisz się kawałkiem stali.

– Słuchajcie, chłopcy – zwracam się do ratowników. – Wyłaźcie ze skafandrów i zorganizujcie meble i ekrany w sali sportowej. Tu jest za ciasno.

Smoki wymieniają między sobą krótkie frazy i biegną tłumnie do sali sportowej. Znowu zostajemy we czwórkę. Zagłębiam się we wzory. Dopóki nie zrozumiem, czym zajmował się Arman, jestem bezsilny.

– Czarku, spójrz. Teraz ona jest lustrzana. Wszystko odbija.

Węgielek też jest już zmęczona. Około dziesięciu technologów eksperymentuje z różnymi pancerzami. Najlepsze rezultaty daje warstwowy „pieróg” z płytek dielektryka i namagnesowanego miękkiego metalu: trzy godziny z minutami. Zabroniłem sprowadzania sond z powrotem. Ogłosiłem całkowitą kwarantannę dla Kwampy i otaczającej ją przestrzeni w promieniu roku świetlnego. Smoki to słyszały, ale żaden nie opuścił sali sportowej, gdzie śpią na podłodze; dobrze chociaż, że wylazły ze skafandrów. Fizykom urządziłem przesłuchanie „z torturami”, ale to niestety niewłaściwi fizycy, właściwi są tam. Ci patrzą na wzory, z zachwytem rozkładają skrzydła: „Ależ ta nauka daleko zaszła!... i wywijają łapami, próbując wyjaśnić mi jakąś super-pozycję pól wektorowych. Ale gdy proszę, żeby zapomnieli o wzorach i wyjaśnili mi fizyczny sens – zakłopotanie na mordzie i cisza Przesłuchiwanych wysyłam z powrotem do sali sportowej. Stopniowo jednak zaczynam wnikać w fizykę procesu, a zarazem budzi się we mnie słabe, mgliste przeczucie deja vu.

– Węgielku, spróbuj ochłodzić pancerz do zera absolutnego.

– Zorientowałeś się już, co się tam stało?

– Chyba tak. Prawdopodobnie bloki wariatorów skręciły spiny wszystkich cząstek elementarnych w czwarty wymiar. To otworzyłoby przed nami zdumiewające możliwości. Materia pozostaje w naszym continuum, ale przestaje oddziaływać na zwykłą materię elektrycznie i magnetycznie – i nawzajem. Otrzymujemy bardzo ciekawy obraz: słabe grawitacyjne oddziaływanie pozostaje, silniejsze jądrowe – też, a równocześnie elektrycznie i magnetycznie materia jest jakby w innym continuum.

– No i co?

– No i możliwe jest wzajemne przenikanie się materii.

– Czyli nasi chłopcy mogli zapaść się do wnętrza planety?

Taka hipoteza nie przyszła mi do głowy. Rozkładam łapy i przyłapuję się na tym, że jestem zadziwiająco podobny do zakłopotanych fizyków sprzed kilku minut. Biorę się w garść, ustawiam ogon równolegle do podłogi i odpowiadam z całą pewnością siebie:

– Mogli. Potrzebuję zdjęcia rejonu, w którym była baza.

Węgielek uchyla drzwi , wysuwa głowę i dwukrotnie głośno gwiżdże. Tupot w korytarzu, i po chwili osiem smoków siedzi już przy pulpitach. Green prosi o dziesięć minut na przygotowania. Fantastyczne tempo. Daję piętnaście. Poradzi sobie?

– W tak małej odległości od planety sonda wtrzyma sekundy – uprzedza Węgielek.

Ależ możliwości się otwierają! Kosmonauci włączają konstrukcję Armana – i meteory przelatują przez statek nie czyniąc szkody. Geologowie na platformie antygrawitacyjnej pogrążają się w ziemię i wszystko widzą na własne oczy. A gdyby spróbować przelecieć przez gwiazdę?

Technicy poradzili sobie w osiem minut. Przeprowadzili operację w dwu etapach: najpierw zrzucili cztery zero-latarnie, określili ich współrzędne z dokładnością do stu kilometrów, potem przerzucili sondę. Planeta była w stadium przechodzenia od pełnego odbijania promieniowania elektromagnetycznego do jego pełnego pochłaniania, przechodząc stopniowo przez wszystkie kolory tęczy. Sonda zastała ją w fazie zielonej. Promień radaru zostaje pochłonięty w całości, ale Węgielek skanuje powierzchnię promieniem niebieskiego lasera. Kompleks budynków centrum naukowego na miejscu, orbitalne stacje również.

Roztrącając wszystkich wbiega Dara. Cała oprószona białym pyłem.

– Zebrałam zapisy zero-eteru ze wszystkich najbliższych gwiazd. Ależ ci ludzie mają biurokrację! Na Lipsie musiałam przebić się przez ścianę!

– Dara, zuch z ciebie! Teraz przepuść dane przez komputer i zrób listę wszystkich przekazów zero-t z i do tego systemu, potem umyj się, a kiedy to się skończy, wyślij notę protestacyjną. Węgielku-u!

– Jestem!

– Znajdź sobie zmiennika i połóż się spać. To rozkaz. Karapet, Timur! – Dwa smoki wyrastają jakby spod ziemi. – Posłuchajcie, chłopcy. Zrzućcie kilka litrów wody w atmosferę Kwampy na wysokości jednego do dwu kilometrów. Tylko jak najdalej od stacji.

– Może buchnąć?

– Jeszcze jak!

Po pięciu minutach

– Buchnęło, szefie. Ale nie aż tak potężnie. Silniej niż wybuch chemiczny, ale dużo słabiej, niż jądrowy. Spektrum promieniowania do niczego niepodobne.

– W jakiej fazie była planeta? W lustrzanej?

– Co? A tak, jasne, szefie. – I uciekli galopem… Nawet nie odpowiedzieli porządnie. Pewnie coś zamyślają, a ja nie mogę dociec, co. Głowa nie pracuje.

– Ratana, hej, Ratana!

– Jestem.

– Daj mi coś pobudzającego.

– Ile można? Musisz spać.

– Bądź dobrą dziewczynką.

– Gdybym nią była, dałabym ci na sen – mruczy i podaje mi kielich.

Wypijam z lekką obawą. W głowie mi się rozjaśnia.

– Dara! Dara, co u ciebie?

Smoczka odrywa się od ekranu, rozgląda się niepewnie, podbiega i szepcze mi do ucha:

– Na stacji nie ma smoków. Uciekły przez zero-t. Musiał tam być alarm „trzy zera”.

– To dobrze. Ale dlaczego szepczesz? – pytam, na wszelki wypadek, także półgłosem.

– Pan mi nie uwierzy, ale oni skakali bez skafandrów wprost w otwarty kosmos!

– Daleko?

– Na czterdzieści pięć jednostek astronomicznych.

Czym to grozi? Barotraumą płuc na pewno. Obecnie te smoki są sopelkami lodu o temperaturze bliskiej zera absolutnego. Nie śmiertelne, ale strasznie nieprzyjemne. I rozmrażanie…

– Na pewno nikt nie pozostał na planecie? Mogli tam być jacyś turyści.

– Jestem absolutnie pewna. Policzyłam WSZYSTKIE smoki.

Dopóki mam jasną głowę, zbieram informację od pozostałych grup. Grupa Węgielka rozłożyła się w montażowniach. Sama Węgielek i jeszcze pięć smoków śpi na podłodze pod ścianą, zwinięte w kłębki. Jej zastępca komunikuje

– Głębokie ochłodzenie pancerza sondy pomaga, ale jej nie ratuje. Kriogenna osłona wydłuża czas jej „życia” półtora raza. Zależy on również od fazy planety, najdłuższy jest w fazie absolutnie czarnego ciała.

Pędzę do grupy Karapeta. Co tam u nich? Siła wybuchów zmienia się sinusoidą w zależności od fazy planety. Najsłabsza jest w czarnej fazie. Zgadza się to z danymi grupy Węgielka. Chyba wystarczy mi informacji, trzeba je tylko usystematyzować i połączyć w całość. Zrozumienie kręci mi się już na czubku ogona. Jeszcze jedno doświadczenie...

– Karapet, proszę tam zrzucić dwa litry wody, ochłodzonej do minus 273 stopni.

Podczas przygotowań do doświadczenia chodzę z kąta w kąt. Liczba zniszczonych sond zbliża się już do tysiąca. Smoki są wykończone, część pracą, część po prostu czekaniem w napięciu. Ludzie również wyglądają na zmęczonych. Ale skąd tu się wzięli ludzie? Kiedy oni tutaj przybyli?

– Mistrzu, miałeś rację. Tak wielkie ochłodzenie zmniejsza siłę wybuchu praktycznie do zera. Był tylko jasny błysk – i to wszystko.

– Dziękuję, Timur.

Ostatni fakt w skarbonce. Pozostaje tylko przeprowadzić eksperyment komputerowy. Budzę Węgielka i stawiam przed smokami zadanie. Węgielek i Green wywołują smoki, tworzą zespół. Nim przygotują eksperyment, kładę się w kącie, zamykam oczy. Mam dwie godziny…

– Mistrzu, wstawaj – słyszę głos Węgielka.

– Daj mi podrzemać, dopóki przygotowują…

– Mistrzu, przeprowadziliśmy już eksperyment. Nic takiego się nie stało. Eksperyment jest bezpieczny. – odpowiada. Rozklejam prawe oko.

– Zaraz, Węgielku. Zaraz będę w formie. Hej, Ratana! Bądź aniołem.

Dostaję do łapy zimny puchar i wypijam go. Potwornie gorzkie, ale pobudzające. Podchodzę do modelujących i zaczynam:

– Inaczej być nie mogło. Arman nie poszedłby na niebezpieczny eksperyment. Ale model komputerowy jest niepełny. Wprowadźcie dodatkowo zewnętrzne pole magnetyczne.

Porażające milczenie. Zamiast natychmiastowego zwrotu następuje precesja wektora. Energia ucieka jak w czarną dziurę. Zapalają się wskaźniki przeciążenia na wszystkich przewodach, dostarczających ją do aparatury. Amplituda precesji wzrasta.

– Dalej możecie nie patrzeć – komunikuję. – W modelu nie przewidziano, że substancja konstrukcji też wchodzi we wzajemne oddziaływanie z wzorcem.

– Ale skąd się wzięło to zewnętrzne pole magnetyczne?

– Nie wiem. Zresztą jaka różnica? Pole magnetyczne jest tylko języczkiem spustowym. Dalej proces napędza się sam. To praktycznie zwykłe pole elektromagnetyczne, tyle, że ze składową z czwartego wymiaru. W naturze jest to niemożliwe, ale precesja normali spinu w czwarty wymiar w zwykłych warunkach też nie mogłaby zachodzić. Czy ktoś z was w ogóle słyszał termin: „precesja normali spinu”?

– Najmocniejsze! Z kriogenicznym systemem chłodzenia induktorów fazowych. Bieguny sto na sto metrów.

– A ja słyszałem o biegunach sto pięćdziesiąt na sto pięćdziesiąt metrów.

– Ale one nie mają kriogenicznego systemu chłodzenia. Przesyłać co dwie minuty.

– Zrobi się.

– A ile będzie trwało ich składanie w otwartym kosmosie?

– Przy pięciu tysiącach cyberów-monterów trzy doby, przy dziesięciu tysiącach dwie.

– A przy sześćdziesięciu tysiącach cyberów?

– Bach! Nawet najpiękniejsza smoczyca nie zdoła urodzić dziecka po miesiącu ciąży.

Można pospać. Wypatruję najpiękniejszej smoczycy – czyli Dary – i pytam szeptem:

– Słuchaj, gdzie są maty i materace z sali gimnastycznej?

– Wskładzie na lewo od wejścia – odpowiada równie cicho. – A po co ten szept?

– Bo chcę tam być pierwszy. – Puszczam do niej oko i pędzę do składu.

Otwieram oczy i patrzę na zegar. Przespałem prawie dwie doby. Obok xapie Węgielek. Wzdłuż ścian ułożono maty, na których śpią prawie wszyscy. Na bazie, gdzie jest co najmniej czterysta pustych pomieszczeń, a każdy smok ma na nosie okulary-komputer z komunikatorem! A jednak każdy chce być o kilka metrów bliżej „centrum” wydarzeń, choć tak naprawdę one zachodzą o pięć lar świetlnych stąd.

Wyjaśniam, co słychać u Karapeta. Zgłasza się Timur i komunikuje, że pierwsza stacja zero-t będzie gotowa za cztery godziny, a cztery pozostałe najpóźniej za osiem. Dwie nad biegunami gwiazdy i trzy w jej płaszczyźnie ekliptyki. Wszystkie mają zerową prędkość orbitalną, ale znajdują się w takiej odległości od gwiazdy, że nie spadną na nią wcześniej, niż za sto lat.

Idę do jadalni, przeglądając po drodze pocztę. Oficjalna interpelacja na moje imię w sprawie noty smoków. Oficjalny protest na moje imię z powodu konfiskaty cyberów-monterów kosmicznych. Łączę oba komunikaty w jeden pakiet, opatruję go zagadkowym komentarzem „No i widzicie, czym się to skończyło” i wysyłam na adres nadawcy. Na takie listy odpowiada zazwyczaj Kora albo Anna, a jeśli – z rzadka – ja, to zwykłym, ludzkim językiem, jak dzisiaj. Potem wpada Anna, długo i ponuro patrzy mi w oczy, po czym zaczyna „tłumaczyć moje brednie na język dyplomatyczny”. Doprawdy nie wiem, po co. W rezultacie z reguły rodzi się nowa legenda o smokach – piękna i zagadkowa jak odpowiedź wyroczni.

Straciliśmy planetę. Taką ładną, sympatyczną planetę. Aż chce się płakać. Jeśli uratuję Armana, obowiązkowo wytargam go za uszy!

Zmęczony Karapet melduje o gotowości stacyj i pyta, co dalej robić.

– Zaczynajcie zrzucać planetę w środek gwiazdy. – odpowiadam.

– Jak to – zrzucać???!!! – słyszę z tyłu głos smoczycy. Oglądam się: Dara.

– Po kawałeczku. Trzeba rozłożyć ją na atomy. Nie, nawet nie na atomy, na cząstki elementarne i rozpuścić w olbrzymiej masie zwykłej materii. Tylko wtedy to zabójcze pole zniknie.

Słyszę pochlipywanie. Dara opłakuje planetę. Tak, planeta była wspaniała, cudowna, prawie jak Tęcza..,. Obliczam, ile to zajmie czasu. Dwieście kilometrów sześciennych na raz. Tysiąc dwieście cykli na sekundę. Plus profilaktyka i obsługa techniczna... O Boże! Wychodzi około tysiąca dób. Prawie trzy lata! Nie mogę tu siedzieć trzy lata! Muszę jeszcze ratować fizyków.

– Karapecie, włącz program usuwania planety – mówię. – Potem wyśpij się porządnie, a następne weź smoki i zorganizuj produkcję zero-stacji. Postaraj się uwinąć jak najszybciej. Aha, zaczynaj pracę od tych śmieci na orbicie Kwampy, a potem usuń atmosferę i oceany. W przeciwnym wypadku to świństwo rozleci się po całym układzie.

– Ba-ach! Niszczymy ta-aką pla-anetę! Trudno! – poddaje się Karapet i odchodzi zataczając się ze zmęczenia, a za nim całe stadko młodych smoków,, które chcą mu pomagać.

A do mnie podchodzi stadko ludzi z urzędowym papierem. No tak! Oficjalny protest przeciw zniszczeniu planety. Czytam papier, po czym zapytuję, czy wśród nich jest jakiś fizyk. Na szczęście jest. Akademik. Odprowadzam go na bok, wyjmuję najgrubszy markowy flamaster i zaczynam z dziką szybkością kreślić na podłodze wykresy, wzory i diagramy. Sam bym tego nigdy nie zapamiętał, ale od czego okulary-komputer? Ostatni wzór podkreślam dwa razy i otaczam ramką. Rysuję planetę, od niej we wszystkich kierunkach faliste linie ze strzałkami na końcach i obok wzór zależności napięcia pola od odległości. Rysunek dziecięcy, ale bardzo wyrazisty i, mam nadzieję, zrozumiały nawet dla akademików.

– Może pan mi podpowie, jak to skompensować albo zgasić? – tykam palcem w ostatni wzór – Bo ja, rozumie pan, nie jestem fizykiem. Jestem tu kimś w rodzaju strażaka: gaszę „pożar”, dopóki nie rozpali się zanadto. Jeśli mi pan podpowie, jak zgasić precesję nie niszcząc planety, zaraz się tym zajmiemy.

– Widzi pan, jestem specjalistą w innej dziedzinie fizyki – komunikuje akademik półgłosem, żeby nie usłyszeli go inni członkowie delegacji.

– W takim razie proszę przekonać pozostałych, że robimy tu, co możemy.

Jeszcze kilka minut komunikuję akademikowi gorące fakty: ile tysięcy sond przepadło koło planety, gdzie i w jakim stanie znajdują się uczestnicy eksperymentu i tak dalej. Wygląda to tak, jakbyśmy omawiali wzory, narysowane na podłodze. Żegnamy się i ja odchodzę na bok, a on woła swoich i wskazuje im moje wzory, komunikując głośno i władczo:

– Tu jest bez porównania gorzej, niż mi mówiono. Dyletanci!

Kogo nazywa dyletantami, nie wiem i nie chce mi się wyjaśniać. Zresztą to całkiem miły i mądry gość. No dobrze, już po zamieszaniu. Teraz trzeba zmontować detektor pola precesji, a potem… ponad miesiąc wolnego na uświadomienie sobie deja vu.

Tęcza? Nie, tam było co innego… Ale gdzieś już coś takiego było…

Wezwanie na okulary przerywa grzebanie w pamięci. Zgłasza się Węgielek.

– Ludzie się zgadzają.

– E-e-e?

– Umówiłam się z nimi w sprawie twojego teleskopu. Gdzie go dostarczyć?

Teleskop?Teleskop, zaraz, co to było?... A, teleskop!!!

– Czekaj, Węgielku, wpierw Karapet musi usunąć Kwampę. Teleskop potem. Trudno było?

– Jeszcze jak! Oni wszystko mają rozpisane na rok naprzód.

– Powiedz im, że uświadomiłem to sobie, przejąłem się i daję im miesiąc-dwa na dokończenie najpilniejszych prac. Pasuje?

– Humanista… Oni mnie albo zabiją na miejscu, albo pomnik postawią.

– Jedno nie wyklucza drugiego – zauważam. – Najpierw…

– Dowcipniś! – Wyłączyła się, nie dając mi dokończyć. Obraziła się…

Ale o czym to ja myślałem? Gdzie to było?... Już wiem, przypomniałem sobie! Podobne doświadczenia przeprowadzałem na Ziemi, jeszcze zanim zapaliłem się do jednokomorowego zero-t! Ale generator miałem słabiutki i skończyło się na niczym. A potem pochłonęło mnie zero-t, potem grawimetria, potem ratowaliśmy Sandrę, zagospodarowywaliśmy Sekond, inne codzienne sprawy – i zapomniałem o wszystkim. To nie Armana trzeba wytargać za uszy, tylko mnie! Na Ziemi przeprowadzać takie doświadczenia!...

Karapet poradził sobie w półtora miesiąca. W miarę zmniejszania się masy planety wzrastała częstotliwość precesji. Dałem mu zadanie całkowicie wyczyścić układ. Pod koniec przetransportowałem przez zero-t grawiteleskop i zacząłem szukać fizyków z Kwampy. Pierwszych dwóch było bardzo trudno znaleźć. Oni dopiero zaczęli usuwać pas asteroidów. Zebrali do kupy wszystkie kawałki o masie większej niż pięć ton, mniejszych nie zdążyli, taki drobiazg stanowi większość pasa, a smok waży akurat pięć ton…

Ale dwa odkryte smoki miały absolutnie identyczne wektory szybkości, więc w pół godziny później miałem już w okularach współrzędne wszystkich osiemnastu fizyków. Ich ciała odlatują od gwiazdy z trzecią szybkością kosmiczną. Za moimi plecami Dara śmieje się, płacze i bije brawo, Węgielek chodzi ponura, a Green gryzie wargi.

– Green, przygotuj cybera z teleskopem i reflektorem laserowym. Chciałbym im się przyjrzeć z odległości kilkuset kilometrów – mówię. Green wybiega, Węgielek z zadowoleniem przytakuje i uspokaja się, a na mordce Dary widzę zmieszanie. – To nie będzie takie proste, moja mała. Prawdziwa operacja ratunkowa dopiero się zaczyna – dodaję dla tej ostatniej.

Moje obawy się potwierdzają. Materia smoków precesuje. Częstotliwość precesji około dwustu kiloherców, nachylenie osi precesji względem ekliptyki 60°, amplituda około 3/6.

– Green, zrób no mi taki sputnik: masywna bryła żelaza z dwoma bardzo długimi „rogami”, na końcu których będą silniki manewrowe. Ochłódź bryłę do około 30 stopni Kelvina i podprowadź ją do tych biedaków na odległość około trzydziestu metrów, nie bliżej.

– Do którego konkretnie?

– Zapytaj Dary.

Propozycja była właściwie żartem, gdyż rozpoznanie wyglądu zamrożonego smoka z takiej odległości jest praktycznie niemożliwe, ale smoczka bardzo się podnieca. Mamrocząc przeprosiny, odsuwa mnie od ekranu i zaczyna wzywać serwery medyczne: jeden, drugi, trzeci…

– Numer 7! Proszę, numer 7! Można?

– Trzeba – zgadzam się. – A jak określiłaś?

– Po wadze. To znaczy: po masie – poprawia się Dara. Mądra dziewczyna.

Wyganiamy stadka pomocników, konstruujemy niezwykłe urządzenie kosmiczne i wysyłamy przez zero-t w pobliże numeru 7. Powtarzam jeszcze raz, żeby nie bliżej niż o trzydzieści metrów, a Green, wysuwając z wrażenia koniec języka, podprowadza sondę do ciała smoka.

– Co dalej?

– Czekamy.

Mija dwadzieścia minut. Na sputniku zaczynają wysiadać czujniki, najpierw na masywnej centralnej bryle, potem na dwustumetrowych „rogach”, coraz bliżej silników manewrowych.

– Wycofaj aparat – mówię, kiedy do silników zostało pięćdziesiąt metrów. Green włącza je.

– Silniki wysiadły – komunikuje po pięciu minutach.

– To było do przewidzenia! – odpowiadam radośnie, porównując wskaźniki – Zapomnij o silnikach, spójrz tutaj! Kąt i amplituda precesji zmniejszyły się prawie dwukrotnie! Przenieśliśmy do bryły prawie połowę pasożytniczej energii! Pomysł jasny? Hej, Karapecie! Naśmieciliśmy tutaj. Zrzuć no na gwiazdę obiekt o masie stu ton. Tylko nie zahacz przy tym numeru siódmego, bo jeśli to zrobisz, Dara oberwie ci uszy.

– Ja-aki znów obiekt? Po co śmiecisz, dziewczyno? Ta-aka ła-adna pa-anienka – i śmiecisz? – narzeka głębokim basem Karapet

Wszyscy bronimy Dary i hurtem walimy do jadalni. Ratana, zuch, już nakrywa do stołu na świąteczne przyjęcie. Karapet zamienia podczerwoną kuchenkę w naczynie z żarem – po prostu podnosząc jej górną pokrywę. Gdzieś wewnątrz syczy łuk elektryczny, obudowa trochę kopie prądem, za to szaszłyki wychodzą takie, że palce lizać!

Teraz uratowanie smoków jest już tylko kwestią czasu.

W szczycie uczty do jadalni wchodzą dwie smoczyce: czarna i zielona.

– No jakżeby inaczej, Kora? – pyta czarna zieloną. – My pracujemy, a oni tu popijają sobie wódkę i i robią nieporządek!

Sekunda martwej ciszy…

– W górę je! – ryczę na cały głos. Smoki podchwytują z entuzjazmem.

Anna z piskiem wyskakuje za drzwi, ale Kora nie zdąża. Krzyżuje łapy na piersi i pokornie wzlatuje raz za razem pod sam sufit, dopóki się nie zmęczymy. Anna ostrożnie uchyla drzwi i zagląda w szczelinę…

– I Wielki Smok uratował wszystkich fizyków? – zapytała najmniejsza zielona smoczka.

– A jakżeby inaczej? – Dara uśmiechnęła się, lecz zaraz się zamyśliła. – Ale rozmrozić ich mogliśmy nieprędko, oj nieprędko. Najpierw dziesięć lat mokli w ciekłym azocie. Energia precesji stopniowo przechodziła do azotu, a my od czasu do czasu zrzucaliśmy go na gwiazdę. Na każdego smoka szły tysiące ton ciekłego azotu. Dopiero po dziesięciu latach pierwszy z nich wyszedł z biowanny.

– Dlaczego?

– Dlatego, że całkowite uwolnienie się od precesji w czwartym wymiarze okazało się bardzo trudne, moja miła.

– Nie rozumiem.

– Jeśli umieścimy obok siebie dwa ciała o jednakowej masie, energia precesji rozdzieli się między nimi po równo. Ale na to potrzeba czasu. Wyobraź sobie, że musisz rozciąć ścinek na pół. To łatwe, nieprawdaż?

– Tak.

– I jedną z połówek też trzeba podzielić na pół. Znowu proste. A ile razy trzeba dzielić połówki, żeby ostatniej nie można już było podzielić na pół?

Smoczęta ożywiły się i zaczęły głośno się spierać. Jedne uważały, że dzielić można w nieskończoność, drugie, że póki nie zostanie osiągnięty kwant przestrzeni – 10-33centymetra.

– Cicho, cicho! – Dara podniosła w górę łapy. – Wszyscy macie rację. Tylko że jedni jako matematycy, a drudzy jako fizycy. Na szczęście żyjemy w świecie fizycznym i wszystkie procesy są realizowane skokami kwantowymi. Kto powie, czemu równa się energia kwantu światła?

– E = mc2

– Dobrze, Remi. Muszę się przyznać, że w ciałach owych fizyków jeszcze dziś zostało sporo elektronów i protonów ze skręconymi spinami. Ale ich zdrowiu to nie zagraża i wykryć to mogą tylko bardzo, bardzo czułe przyrządy.

– Ciociu Daro!

– Co, Remi?

– A co to ma wspólnego z duplikatorem Trepeda?

– Widzisz, Remi, Arman powinien był odkryć matrycę przestrzeni w ciągu dwu lat po owym doświadczeniu, a stąd do duplikatora Trepeda są już tylko dwa kroki. Ale on zmienił zawód, a tą dziedzinę fizyki kwantowej uznano za potencjalnie niebezpieczną i nikt już się nie zajmował metryką przestrzeni.

– Całkiem-całkiem nikt?

– No, tak całkiem-całkiem to się nie zdarza. – Uśmiechnęła się Dara – Wcześniej czy później ktoś tak czy owak odkryje tajemnicę przyrody. Fizycy na Kwantorze podeszli bardzo blisko do tego odkrycia z drugiej strony. Ale Łacinnicy odkryli duplikator Trepeda pierwsi i teraz w annałach zostało uwiecznione imię Trepeda.

– A na Kwantorze też było bum?

– Też, Stalsey. Ale to już zupełnie inna historia.

**TransMatrix**

**Bajka III**

**CZYM ZAJMUJE SIĘ KOMPUTER CIERPLIWYCH?**

(opowiada Benedykt)

Ponieważ byłem pierwszym, którego Bolan spotkał w naszym świecie, poprosił mnie, żebym opowiedział, co zaszło między nim a siostrzyczkami-Szkodniczkami.

Poszło o to, że i Bolan, i Szkodniczki uważają siebie za „NAJLEPSZYCH HAKERÓW WE WSZYSTKICH WSZECHŚWIATACH’, a ponieważ cała trójka to pod tym względem duże dzieci, więc cały czas starają się przechytrzyć jedno drugie.

Wszystko zaczęło się od tego, że siostrzyczki podsłuchały rozmowę Bolana z Komandorem. Nie-e-e, to nie było nic takiego tajnego, oni rozmawiali o sztuce. O tym, że siostrzyczki mogą zainstalować podgląd w komputerze, Bolan wiedział już wcześniej, ale nie zwracał na to uwagi; gdy jednak dowiedział się o podsłuchaniu tej rozmowy, strasznie się obraził. No i postanowił zrobić siostrzyczkom niespodziankę. W komputerach systemu obserwacyjno-podsłuchowego umieścił emulator komputera Jaszczurów, pod emulatorem program operacyjny ze swojego świata, a pod nim program do pracy z kamerami i mikrofonami. I, dla pełnego szczęścia, dołożył tam jeszcze program do walki z hakerami. ..

Ponieważ siostrzyczki w głowach zamiast mózgów organicznych mają procesory, więc informację z systemów obserwacji otrzymały jako jeden ze strumieni danych w ich własnym systemie… Zmiany dostrzegły od razu. I zaczęło-o-o się!!! Dwa dni próbowały przełamać tą ochronę, poświęcając na to wszystkie swoje zasoby i zapominając o jedzeniu, aż musiał interweniować Komandor. Ale program operacyjny zawiera zwykle ba-a-ardzo dużo bitów, więc z doskoku nie udało im się przełamać obrony, zwłaszcza że nie wiedziały, iż tam jest zupełnie dla nich nowy, obcy program operacyjny. Na jakiś czas się uspokoiły, co znającym ich charakter wydawałoby się podejrzane. W rzeczywistości siostrzyczki szykowały kontratak – zamówiły z Ziemi partię nowych procesorów i kazały cyberom remontowym przeprowadzić na bazie Jaszczurów upgrade. W rzeczywistości nowy procesor różnił się od starego tylko wydajnością. Siostrzyczki jednak puściły na nim swój SWM – System Wirtualnych Maszyn. Na jednych wirtualnych maszynach puściły, jak wcześniej, program operacyjny Bolana, a na innych – swoje zadanie typu „Co Kryminał ma na ekranie?”. Chciały w ten sposób odkryć jego hasło i, wchodząc z niego, wyjaśnić, co to za program.

Może by się im to nawet udało, ale Bolan pisał akurat artykuł o rozwoju mikroprocesorów w świecie smoków, chcąc wysłać go do swojego, i zauważył, że parę dni temu pojawiła się nowa konstrukcja procesora. No i oczywiście zrobił jej kompleksowy test, który wykazał szybkość działania dwa razy mniejszą od deklarowanej. Ktoś inny machnąłby ręką albo wysłałby reklamację do producenta, ale Bolan zaczął grzebać i odkrył SWM. Siostrzyczki o tym nie wiedziały, gdyż akurat nie było ich na podglądzie, bo Komandor wysłał je na jakąś planetę w celu uregulowania stosunków z prasą.

Gdy Bolan zorientował się w SWM, z zachwytu aż zawył i zatarł ręce, po czym napisał program, który całkowicie zajął oko-zadanie siostrzyczek.

Siostrzyczki są z natury bardzo obrażalskie i zazdrosne. Postanowiły więc rozgryźć system Bolana za wszelką cenę. Zaczęły od prostego sposobu: analizy trasowania. Wykorzystały do tego potężny komputer Komandora, który im na to pozwolił, gdyż jemu ten komputer nie był za bardzo potrzebny. No i siostrzyczki zapracowały go „po uszy”.

Bolan, pamiętając, co mówił Artiom o komputerze Komandora, zaniepokoił się: taka machina poradziłaby sobie z jego programem dość łatwo. I podsunął im „udoskonaloną” wersję: program operacyjny smoków – emulator – program operacyjny jaszczurów – emulator – program operacyjny jaszczurów - emulator, i to wszystko w pętli rekursyjnej…. Z pracowitością u siostrzyczek wszystko w porządku, ale z fantazją – kiepsko… Nie zrozumiały chytrości Bolana i zaniepokoiły się dopiero wtedy, gdy najsilniejszy w świecie komputer przepracował miesiąc bez przerwy i doszły do niewłaściwego wniosku, że potrzeba jeszcze większej mocy obliczeniowej. No i zamierzały skierować zadanie do wszechświatowej sieci, ale Komandor im nie pozwolił, gdyż wiedział o „żarciku” Bolana i słusznie obawiał się, że sieć padnie.

Siostrzyczki się nie poddały i postanowiły zbudować własny, superpotężny komputer, przyjmując za podstawę komputer Cierpliwych. Ukradły przywieziony przez wyprawę smoków ścinek i wybrały się z nim na jedną z wypraw smoków i dinozaurów do któregoś tam ochłodzenia planety tych ostatnich. Tam przez jednokomorowe zero-t „wrzuciły” ścinek z powrotem do naszego Wszechświata, mając nadzieję, że w ciągu milionów lat rozwijający się komputer zdoła przełamać każdą obronę…

Trzeba było widzieć Komandora, gdy się o tym dowiedział: przez cały TYDZIEŃ (!) nie mógł przyjść do siebie ze śmiechu. No, podobno czasem przestawał rżeć, a potem na widok Szkodniczek zaczynał od nowa.

Te dwie nowe „Cierpliwe” potrafiły przerzucić swój „kalkulator” akurat tam, gdzie go znaleziono… 15 lat temu! No, oczywiście, że nie tam, one nie są takie głupie. Ale galaktyki się obracają i w ciągu wielu milionów lat komputer przeleciał tam, gdzie go znaleziono. Jak się okazało, ów złapany wtedy sygnał oznaczał coś w rodzaju „osiągnięto zakładaną wielkość” i adresowany był do Szkodniczek, tylko że one jeszcze… same o tym nie wiedziały!

Wyśmiawszy się, Komandor przerwał ten pojedynek hakerów. Podobno Szkodniczki przyznały, że „Bolan jest chytrzejszy i do diabła z nim!”.

A zaraz potem wypadł kolejny jubileusz Komandora i siostrzyczki postanowiły ofiarować mu „najlepszy prezent, jaki tylko dostał w życiu”. Ale to już zupełnie inna historia…

Dopisek Szumiła:

Ten plik otrzymałem pocztą elektroniczną. Taki dziwny, wypaczony w procesie przesyłania, plik z urwanym w połowie ostatniego słowa tytułem. Adres zwrotny nadawcy był podany: [TransMatrix.Pervink@chat.ru](mailto:TransMatrix.Pervink@chat.ru) , ale nie odpowiedział na próby nawiązania korespondencji, pewnie był fałszywy (No cóż, adres zwrotny można podać jakikolwiek).

Przy pierwszym czytaniu pomyślałem, że mogło być i tak. Ale przy drugim zamyśliłem się. Benedykt raczej nie wspominałby nikomu, nawet dzieciom, o wyprawach w czasie – to skrzętnie ukrywana tajemnica. Poza tym komputer nie strzelałby do wyprawy, w której brały udział jego twórczynie. Ale pozostałe wydarzenia w tym opowiadaniu –to czysta prawda! Przysięgam na swój ogon! Uch ty! Kto z kim przestaje… No, w każdym razie daję słowo honoru! Długo zastanawiałem się, czy wierzyć w to opowiadanie, czy nie – i do dziś nie wiem.

Teraz wy się zastanawiajcie.

**Paweł Szumił**

**Bajka IV, bardzo smutna**

**SZEPNIJCIE SŁÓWKO ZA BIEDNEGO SMOKA**

**(**opowiada Duncan**)**

Stoję na samej krawędzi skały. Z dołu dochodzą wesołe głosy i śmiech. Z pewnością prezentuję się pięknie dla patrzących stamtąd. Muszę to zrobić, muszę!

– Duncan! Skacz do nas! – woła do mnie Kozica.

Cofam się o kilka kroków, rozpędzam się. wyrzucam ciało w powietrze. Kilka sekund nieważkości. Mięśnie kurczą mi się ze strachu, skrzydła mocno przyciskam do grzbietu. Wchodzę do wody skandalicznie, prawie bokiem, podnosząc całą chmurę bryzgów. Ale zrobiłem to!!! Wygrałem z samym sobą! Nie ruszam się, pozwalam się ponieść wodzie. Bok boli.

– Średni skok. Na trójeczkę. Wejście do wody skandaliczne – komentuje Montan.

– Sam spróbuj! – rzuca się na niego Kozica. Unoszę się na wodzie trzymając się za bok.

Kąpiący się akurat Montan unosi się z wody na biograwach i kołując nabiera wysokości. Ląduje na szczycie skały, ale na tak ogromnym „postumencie” nie wygląda zbyt dobrze. To znaczy, że ja także nie wyglądałem tam dobrze. Rozkłada skrzydła i skacze. W ostatniej chwili składa je i wchodzi do wody prawie bez bryzgów.

– Ty kierowałeś skrzydłami, a Duncan miał je cały czas złożone – komunikuje mu Szalla. – Próba się nie liczy, Spróbuj jeszcze raz, tak jak on.

– Nie-e-e! – Montan kręci głową, wylewając wodę z uszu. – Nie jestem samobójcą.

Wszyscy się śmieją.

Bok już prawie nie boli. Poczekam jeszcze trochę i znowu skoczę. Muszę pokonać strach.

Jestem jedynym we wszechświecie smokiem, który boi się… wysokości. Codziennie muszę udowadniać sobie, że jestem smokiem. Tylko sobie, inni nic nie wiedzą. Dla nich lot jest rozkoszą, a dla mnie – torturą. Nie mam instynktownego pędu do lotu. Rodzice, pamiętając o tych trzech latach bez nieba, chcieli ułatwić mi dzieciństwo – i dostałem lęku na całe życie.

Ból w boku minął. Podnoszę się z wody i lecę na szczyt skały. Tyle jeszcze mogę, w górę lecieć mi łatwiej. Byle nie patrzeć w dół. Tylko nie patrzeć w dół!!! Tylko na szczyt skały!...

Wylądowałem. Teraz można kilka sekund odpocząć. Zebrać całą odwagę, skoncentrować się. Kiedyś zdołam wyrzucić ciało w powietrze bez strachu. Muszę tylko trenować, trenować i jeszcze raz trenować. Codziennie. Uparcie.

Rozpościeram skrzydła, jakbym suszył błonę na słońcu. W każdym razie niech inni tak myślą. Muszę! Muszę nauczyć się pokonywać lęk wysokości. JESTEM SMOKIEM!!!

Wchodzę w wodę pionowo, ale to czysty przypadek. Mięśnie znów ścisnął skurcz strachu.

– Chłopcy! Czas do stołu! – woła Szalla.

Wychodzę z wody i pomagam wyciągać z flyera i rozkładać brezent. Szalla i Kozica układają na talerzach przysmaki.. Benedykt chce ściągnąć z talerza kawałek zbyt wcześnie, za co dostaje od Szalli po łapie. Wszyscy się śmiejemy. Po chwili Szalla daje znak i zaczynamy jeść zimne gotowane mięso i gadać o niczym.

– Duncan jest z nas najbardziej przewidujący – chwali mnie Kozica.

– A ja? – pyta Benedykt.

– A ty jesteś największym żarłokiem! Co byś teraz jadł, gdyby on nie przekonał nas, żebyśmy wzięli flyer? Co to byłby za odpoczynek, gdybyśmy musieli lecieć po jedzenie dwie godziny w jedną stronę? – odpowiada mu Szalla.

Tak, to ja przekonałem wszystkich do lotu na flyerze. To jest szybsze i można wziąć ze sobą żarcie na piknik. Ale najważniejsze dla mnie, że to nie jest straszne. Wszystkie smoki wiedzą o moim zwyczaju latania tuż nad ziemią. Na ich pytania szczerze odpowiadam, że boję się wysokości. Uważają to za dobry żart i śmieją się. Niech im będzie. Mnie wszystko jedno.

Kozica przymila się do mnie. To najlepsza z dziewczyn. Dawno złożyłbym jej propozycję małżeńską, ale czy ona zechce żyć ze smokiem, bojącym się wysokości?

– Duncan, ile razy dzisiaj nurkowałeś? – pyta Benedykt.

– Nie wiem. Chyba z piętnaście.

– Dwadzieścia dwa – uściśla Kozica. – Liczyłam.

– No to jak, lecimy do domu czy jeszcze raz się kąpiemy? – daje do wyboru Szalla.

Zdania są podzielone. Ja z Kozicą chcemy się trochę pogrzać na słoneczku, więc zlecają nam posprzątać naczynia. Pozostali lecą się kąpać. Ja też bym się zanurzył, ale tam trzeba LECIEĆ. Pokonać strach, zostać prawdziwym smokiem… Codziennie, w każdym locie być jak prawdziwy smok....

– I oto jesteśmy sami. – Kozica robi do mnie piękne oczy i łaskocze mnie w błonkę. Olśniewa i kusi. Trzymaj się, to samiczka!

Lecimy z powrotem. Flyer prowadzi Montan. Benedykt całuje się z Szallą, a ja i Kozica drzemiemy na tylnym siedzeniu. To był dobry piknik i dobry dzień. Cały dzień zachowywałem się jak smok. Jak PRAWDZIWY smok. Chwilami nawet czułem się jak prawdziwy smok. Wspaniały dzień!

– Kocham cię, mój miły – na wpół sennie szepcze Kozica. – Kocham cię. Chcę mieć z tobą syna. I żeby on był we wszystkim podobny do ciebie. Tak samo mądry, wnikliwy, ze zmarszczką na nosie. I równie dzielny jak ty.

– Ja nie jestem dzielny.

– Jesteś. Ja to wiem.

Najwyższy czas wytłumaczyć Kozicy, że, nie powinna ze mną mieć dziecka, gdyż może po mnie odziedziczyć mój lęk wysokości. Tylko drogą sztucznego zapłodnienia z korektą genetyczną, Tylko w ten sposób.

– Dla nas jeszcze za wcześnie na dziecko. Muszę ci coś opowiedzieć…

– Za późno, kochany. – odpowiada z uśmiechem Kozica. – Będziemy mieli małego I będzie podobny do ciebie. Obowiązkowo.

– NIE!!! – krzyczę, aż echo niesie się po całej kabinie flyera. – Nie!!! Tylko nie to! Tylko nie do mnie! Nie trzeba!!! – Słowa i łzy histerii więzną mi w gardle. – Tylko nie do mnie!

Benedykt i Szalla zrywają się, oglądają się z przestrachem. Przerażona i nic nie rozumiejąca Kozica przyciska moją głowę do piersi.

– Tylko nie do mnie… – Płaczę.

**Paweł Szumił**

**Bajka V**

**SKĄD SIĘ WZIIĄŁ ŻMIJ GORYNICZ?[[1]](#footnote-2)**

(opowiada Fala)

Wczoraj tutaj o mało nie złapałam o ta-akiego rekina!... No, żartuję. Ale pysk miał zupełnie jak Bolan, daję słowo honoru! Żebym tak sto lat nie widziała nieba!

Dlaczego nazywam Montana Żmijem? Ano dlatego, że to pełzająca żmija! Zielona żmija, wróg ludu – to on! Słyszałeś o tym? Oczywiście że nie, żartuję. Bierze, podcinaj! No więc…

Czym mi się naraził? Długo by opowiadać. Jest mi winien dwie pary uszu, nie chce ich oddawać. Mamy z nim taką umowę: jak złapię go w swoim komputerze – rozstaje się z uszami. Nie, nigdzie się nie śpieszymy. Prawdziwy rybak nie wraca bez połowu. A, wczoraj? Przecież nie mówiłam, że jestem prawdziwym, dopiero się uczę. Napluj na robaka, ryby to lubią. Kto tak powiedział? Komandor, a któżby inny?

No dobrze, Montan to nie Zielony Żmij, tylko Żmij Gorynicz. Trzy głowy i wszystkie puste.

Dlaczego miałabym rzucać na niego potwarz? Nie zawstydzaj mnie. Podcinaj! To weszło do ludzkiego folkloru, a ty nie wierzysz mi, naocznemu świadkowi. Możesz zapytać Szkodniczek, one potwierdzą. Chociaż nie, one akurat mogą się wypierać.

A może lepiej nie opowiadać? No dobrze, opowiem. No więc to było tak…

– A co będzie, jeśli do komory zero-t włożymy trzy pary biegunów i wyślemy przesyłkę równocześnie na trzy adresy? – Zamyśliła się Miri-two.

– Sprawdzimy - zaproponowała Miri-one/.

Jak ustaliły, tak zrobiły. Upatrzyły sobie najdalszą komorę towarową Kwantora, ściągnęły z pół setki cyberów, zamówiły bieguny o nietypowych wymiarach – i po czterech dniach wszystko było gotowe. Prawie wszystko. Pozostawało wybrać przedmiot dla doświadczenia.

– To musi być przedmiot o wyraźnie uwidocznionej strukturze krystalicznej– powiedziała Miri-one. – Na przykład diament papy.

Diament podarowali Czarkowi kosmiczni geologowie. Ważył prawie trzy kilogramy i Komandor wykorzystywał go do przycinania glazurowanych płytek ceramicznych, gdy upiększał nimi kominek, Albo szkła, gdy wymieniał rozbite przez siostrzyczki lustro w łazience. (Nie można grać w piłkę wodną w wannie, nawet smoczej). Przez resztę czasu diament leżał gdzieś w szafie z książkami.

– Przed doświadczeniem trzeba go zdublować – uściśliła Miri-two i siostrzyczki pobiegły umawiać się z Karapetem na dostawę trzech kilogramów maso-energii.

Tymczasem nic nie podejrzewający Montan uciekał przede mną. Wlazł do moich okularów, żeby ściągnąć autorski wariant wierszy pewnego mojego znajomego – i, oczywiście, wpadł. Na Kwantorze nie da się latać, gdyż to stacja kosmiczna, więc uciekał kłusem, często przechodzącym w galop. Nie miał zbędnej pary uszu, ale na długich dystansach był niestety szybszy ode mnie. Jednak źle skręcił i znalazł się w ślepym zaułku. Już myślałam, że będę go miała, ale tam stała kabina zero-t, wprawdzie z napisem, żeby się nią nie posługiwać, on jednak był w ekstremalnej sytuacji. Niebezpieczeństwo, czyli ja, pędziło za nim z groźnie wysuniętymi pazurami z szybkością 36 km/h.

Połączył się przez okulary z komputerem kabiny zero-t i w pośpiechu go przetestował. Komputer trzykrotnie potwierdził gotowość kabiny do przesyłki. Wyglądało na to, że nie działają tylko światła na suficie. Montan zamknął skrzydło drzwi o dość niezwykłym kształcie i dał komendę startu.

Zmodyfikowany komputer kabiny zignorował adres, podany przez Montana, ale komendę startu przyjął.

– Trzy kilo?!! Buch! Półtorej tony – to po wa-aszemu trzy kilo?! – ryczał Karapet, złapawszy Miri-two w drzwiach stołówki. – Nie, powiedz no mi, czy półtorej tony podobne jest do trzech kilo?!

– Błagam o wybaczenie, zaszła pomyłka. Aparatura nowa, niewyregulowana – plotła dziewczyna, gorączkowo szperając po komputerach zero-komór, po zapisach kamer wideo Kwantora, po komputerze okularów stojącego przed nią smoka. – Karapecie, ja muszę uciekać! jeśli wytłoczyłyśmy z ulubionego diamentu papy półtorej tony kopii, wyobrażasz sobie, jak on się zmartwi?! Proszę cię, nikomu o tym nie mów, a my je porozbijamy i wyrzucimy.

Dała nura pod brzuchem smoka i naprawdę uciekła z nietypową dla ludzi szybkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Miri, ukatrupiłyśmy Montanka! – zawołała, wpadając do pokoju. – I zjadłyśmy kupę energii! I wygląda na to, że otworzyłyśmy pętlę czasową. Karapeta zagadałam, ale jeśli Anna się dowie, zabije nas na miejscu!

– Anna zabije nas, jeśli nie zamkniemy pętli. Jeśli ją zamkniemy, także zabije. Dlatego zapomnijmy o niej i myślmy, jak uratować Montanka. – odrzekła logicznie Miri-one po namyśle. – Zdublujemy więc Montanka na sekundę przed tym, nim myśmy go… na trzy kupki… On nic nie będzie wiedział.

– A jeśli coś w nim się przesunie albo zepsujemy mu całe DNA?

– Zbudujemy nanokorektor. On się zorientuje, co gdzie trzeba zwrócić.

Nanokorektor okazał się urządzeniem niewiele prostszym niż komputer Cierpliwych. Ale siostrzyczki cofnęły się o rok w przeszłość, potem jeszcze o rok, potem jeszcze… Nie miały innego wyjścia, co było bardzo silnym stymulatorem. No i poradziły sobie. Gdy tylko Montan rozdzielił się po kabinach odbiorczych, aparatura siostrzyczek puściła proces wsteczny.

– Oj!!! – wykrzyknął Montan, czując się, jakby go całego oblał wrzątek.

Głuche trzykrotne echo przetoczyło się pod sufitem ciemnej kabiny, i smok wyszedł z niej tyłem, wpadając prosto na mnie.

– Mam cię! Napisałeś testament, śmiertelniku? – zaczęłam ze złośliwą radością.

– Faleczko, Grzywaczu, wybacz potworowi… – mówiąc to, odwrócił się i…

– A-a-a!!! –wrzasnęłam wniebogłosy i padłam nieprzytomna.

Gdy Szkodniczki przybiegły z kabiny projekcyjnej, trzy głowy Montana już przyszły do siebie po pierwszym szoku i wyginając szyje, oglądały jedna drugą porównując wspomnienia.

– O Boże! Przecież kazalyśmy nanokorektorowi priorytetowo zachować układ nerwowy! – przeraziła się Miri-two.

*Dopisek autora: Wierzyć czy nie wierzyć historiom rybaków – to już każdy rozstrzyga sam.*

**Paweł Szumił**

**Bajka VI, z relatywistycznym odchyleniem**

**PARADOKS BLIŻNIĄT**

(opowiada… No któż, oprócz Szkodniczek, mógłby znać wszystkie szczegóły?)

A wiecie, dlaczego w jadalni Kwantora jest tyle dań z ziemniaków? Ziemniaki pieczone, smażone, gotowane (z najrozmaitszymi dodatkami), puree z ziemniaków, ziemniaczane chipsy w pakiecikach, a nawet pałeczki surowych ziemniaków dla smoczych miłośników. Nie wiecie? O-o-o! No to posłuchajcie. I nie mówcie, że nie słyszeliście. Bo ta historia powinna być zapisana diamentową igiełką w kąciku oka…

– Witamy wszystkich. – Siostrzyczki zeskoczyły z grzbietu Montana i skierowały się do willi Sławnego Przodka. – Papa jest u siebie?

Ałtaja obejrzała się. Piłka, podana przez Tarę odbiła się od jej głowy, poszła w aut i trafiła w opalającego się pod sosną Bolana.

– To się nie liczy! Poza grą! – zawołała dinozaurka.

– Liczy się, liczy! – odkrzyknęła Beruna.

– A właśnie że nie! Montan usiadł z łapą na boisku. To jest zakłócenie gry!

Smok podniósł ogon i szybko przesunął się o parę metrów. Bolan otworzył jedno oko, odrzucił ogonem piłkę na pole gry i pomachał łapą Szkodniczkom.

– Komandor jest na górze. Drugi dzień męczy grawiglukator – zakomunikował Farlik. Był już prawie dorosły, niewiele niższy od Bolana, ale jasnozielona skóra świadczyła o młodości.

– Dobrze, że przyszłyście, dziewczynki. – Ucieszyła się Kora – Afa znowu się zapracował, zanieście mu obiad, proszę.

Stół z jedzeniem dla smoków wielkością i ładownością przypominał półciężarówkę pierwszej połowy XX wieku. Dla dwóch cyborgów nie było to zbyt wiele, ale Szkodniczki zawołały trzy cybery i poszły za nimi, omawiając sprawy bieżące.

– Zakład, że bolanoidzi wygrają. Tara ma podanie do luftu.

– Przegrają. Oddali artystom dla wzmocnienia Berunę, a wzięli do drużyny Ałtaję.

Argument był ważki, więc obie zamyśliły się, obliczając szanse. Nagle Miri-two drgnęła:

– Papa znów zajmuje się czymś ciekawym, a nasz system monitoringu milczy.

– Zablokowany. Co za życie! Co smok, to haker – przytaknęła Miri-one.

Pomogły cyberom wtoczyć stolik do windy. Czarek powitał je z radością. Rozpierała go duma i chęć podzielenia się z kimś własnym odkryciem.

– I przyniosłyście mi śniadanie. Ale z was zuchy!

– Papo, to przecież obiad.

– No proszę, ale ten czas leci! Pamiętacie, jak u nas nie działał peryskop czasu? Ta hybryda szczelinowego grawilokatora, jednokomorowego zero-t i maszyny czasu? A teraz działa!

– Papo, ale po co wyłączyłeś nasze monitorowanie?

– Jak to po co? – Zdziwił się smok. – A jeśli ktoś przechwyci? Przecież ja pracuję z czasem. To tajny temat. Ludzie nie mogą się dowiedzieć.

– Ludzie czy Anna? – zapytała Miri-one. Smok zmieszał się.

– I Anna też. Ona ma uprzedzenia historyczne. A ja znalazłem taką ciekawą linię rozwojową! Wyobraźcie sobie: hybryda XIX i XXII wieku! Znajdźcie w bibliotece fantastykę typu „paro-punk” – to dosłownie o nich! W ich świecie kierują nauką ludzie nie typu Einsteina, a Julesa Verne’a. Romantyczni pionierzy! Akurat obserwuję ich przygotowania do doświadczalnego sprawdzenia paradoksu bliźniąt.

– Papo, pokaż –poprosiła Miri-two. Czarek posadził je na kolanach, każdą na jednej łapie.

– Pamiętacie, na czym polega paradoks bliźniąt? Z Ziemi startuje rakieta i leci z prędkością bliską świetlnej. Z powodu relatywistycznego spowolnienia czasu ten, kto poleci rakietą postarzeje się mniej, niż ludzie na Ziemi. W tym przypadku on o trzy lata, oni o dziesięć.

– To wiedzą wszyscy, papo. I co tu jest do sprawdzania?

– Śledźcie dokładnie mój tok myśli: Pół roku rakieta się rozpędza, pół roku leci po inercji. Rok hamuje i znów rozpędza się do lotu z powrotem. Znowu pół roku po inercji, i znowu pół roku hamowania przed lądowaniem na Ziemi.

– Zwykły lot doświadczalny. Gdzie tu kruczek, papo?

– W tych dwu okresach po pół roku, kiedy rakieta leci po inercji. Jeśli rakieta porusza się z prędkością bliską światłu, to czas na niej powinien zwolnić. Ale! Jeśli z rakiety popatrzeć na Ziemię, to właśnie Ziemia względem rakiety porusza się z prędkością podświetlną. Czyli to na Ziemi czas powinien biec wolniej. Właśnie ten paradoks chłopcy chcą sprawdzić.

– Dziwacy. – parsknęła śmiechem Miri-one.

– Na takich dziwakach opiera się cały rozwój świata Oni są forpocztą forpoczty nauki, solą soli Ziemi. – zaprzeczył Czarek. – Zobaczcie, jaki statek sobie sprawili. W tej chwili on znajduje się na orbicie Marsa. Trzysta tysięcy ton. I przy takiej masie ma przyśpieszenie do ośmiu g. Pełna automatyzacja, ale jeden człowiek leci.

– Traci trzy lata życia?

– Jeśli wszystko pójdzie normalnie, to prawie cały lot spędzi w anabiozie. Obudzi się raz w najdalszym punkcie lotu, przeprowadzi obserwacje i znowu zaśnie.

– Ale w anabiozie on się w ogóle nie postarzeje– zauważyła Miri-one.

– Tak głębokiej jeszcze nie znają. To będzie raczej długi sen. Postarzeje się o trzy lata.

– A na Ziemi minie dziesięć. Czyli straci dziesięć lar, nie trzy – złośliwie uściśliła Miri-two.

– Nic nie rozumiecie. – Obraził się Czarek. – Dziesięć lat to nie tak znowu wiele. Za to jaka odwaga, jaka skala eksperymentu! W naszym świecie ten efekt sprawdzano na zwykłym samolocie, łapano nanosekundy na pograniczu błędu pomiarowego. A tu od razu całe lata! Poza tym on się zestarzeje i umrze o te siedem lat później – dodał. Siostrzyczki zachichotały.

– Papo, niebezpieczne doświadczenia przeprowadza się najpierw na królikach. Może podrzucimy mu do anabiozy królika? Ależ tam się zdziwią!

Przebrzmiała muzyka, ucichły krzyki Lestok wszedł do luku, zatrzymał się na pierwszym stopniu i podał bukiet kwiatów stewardesie. Wszedł głębiej, druga stewardesa zamknęła luk, trzykrotnie przekręcając chromowane koło zamachowe, zdjęła miedziano-ebonitową słuchawkę telefonu i zakomunikowała kapitanowi statku kosmicznego:

– Pasażer na pokładzie!

Rozległ się dwukrotny dźwięk dzwonka, po czym salę wypełnił przyjemny baryton:

– Panie i panowie, start odbędzie się za trzy minuty. Proszę wszystkich o zdjęcie nakryć głów, zgaszenie fajek i cygar, zajęcie miejsc w fotelach i przypięcie się.

– Proszę podać mi cylinder – Stewardesa w krochmalonym fartuszku rozpływała się w uprzejmościach.

Lestok wrzucił do cylindra rękawiczki i podał go jej, usiadł w miękkim i głębokim fotelu i nawykłym ruchem zapiął pasy. Trzykrotnie rozległ się melodyjny dźwięk dzwonka, po czym ryknęły silniki. Lot zapowiadał się bardzo przyjemni: na pokładzie byli kapitan, sternik, trzy panienki i jeden pasażer. I dwadzieścia kajut pierwszej klasy ze wszystkimi wygodami.

Dwa tygodnie zleciały jak jeden dzień. Rosemary okazała się cudowną dziewczyną, bez kompleksów i rozumiejącą wszystko. Oprócz tego znakomicie grała na ksylofonie, kontrabasie i – nie do wiary! – saksofonie. Nie wymagała wierności i nie obiecywała, że będzie czekała dziesięć lat.

Stocznia orbitalna na Deimosie wyglądała imponująco i nieco zagadkowo. „Huragan czasu” błyszczał miedzią. Kuter wysłał w eter dwa długie ryki i podleciał do przystani. Marynarz w lekkim skafandrze podłączył do luku węża rękawa stykowego Lestok gorąco pożegnał się z załogą i zanurkował w luk. Tam czekał na niego chłopiec w uniformie jungi.

– Proszę iść za mną, sir. Główny inżynier czeka na pana.

Lestok podał mu bagaż i z dawna nawykłym ruchem poleciał wężem. Grawitacji na Deimosie prawie się nie czuło.

Uroczystego przyjęcia nie było. Spotkanie odbyło się ciepło, ale rzeczowo. Główny inżynier zakomunikował o zakończeniu prób manewrowych, intendenci o zakończeniu napełniania zbiorników i załadunku wszystkiego, co niezbędne. Po wysłuchaniu ich komunikatów Lestok potwierdził datę startu: jutro w południe według czasu Greenwich i podpisał wszystkie niezbędne papiery.

Następnego dnia punktualnie o 1200 „Huragan czasu” odcumował, wyszedł z przystani i rozpoczął historyczny rejs.

– Zrobimy im cud. Prawdziwy. Papa mówi, że oni na to właśnie czekają!

– Ale…

– Nie zaprzeczaj! Obmyśliłam wszystko. Paradoks musi być!

– Ale Einstein dowiódł, że w takim przypadku paradoksu być nie może.

– Niech spróbują dowieść, że go nie ma! Już my im pokażemy paradoks! Fakty są uparte! A papa dopiero się zdziwi!

– Ale on ma taką ciężką łapę!

– On tylko grozi. Ale najpierw lepiej sprawdźmy teorię. Jeśli wykręcimy im paradoks na odwrót, to co mogliby jak wyjaśnić?

– A jaki mamy wybór? No, ciało się porusza… Z przyśpieszeniem… Jest efekt Dopplera. Jeśli inwertujemy przyśpieszenie statku w siłę utrzymującą w polu grawitacyjnym… Co można byłoby zwalić na człon potencjalny?

– Wszystko, co można byłoby na niego zwalić, pracuje na naszą niekorzyść. Lepiej zróbmy tak, żeby oni niby to złapali legienne przyśpieszenie. Pamiętasz, jak to było z „Tajmyrem”?

– No i odkryją derytrynizację o sto lat wcześniej. Jaki to ma sens?

– A jak uzgodnimy ciąg silnika, drogę, szybkość i straconą energię?

– Jeśli inwertujemy paradoks, to odległości nie będą się skracały, tylko rosły.

– Genialne! Dalej?

O szczegóły projektu siostrzyczki spierały się do późnej nocy, zamknąwszy się w składzie na bazie, żeby na pewno nikt ich nie podsłuchał. Potem nastąpił czas jego realizacji. Trzeba było zdublować statek w innym czasie, wyjąć z niego komorę anabiotyczną z pilotem, przestroić wszystkie przyrządy statku, podgonić pusty statek przez kosmos o pięć lat i zwrócić pilota do kabiny. Niech się obudzi i zdziwi. W drodze powrotnej – to samo. Wyjęcie komory ze śpiącym pilotem, przestrojenie przyrządów, wypełnienie banków informacji danymi. Bardzo żmudna i skrupulatna robota. Ale cierpliwości i pracowitości siostrzyczkom nie można było odmówić. Jak mawia Montan: „…tylko gdybyż one tej energii używały do celów pokojowych…”.

Wzburzony Karapet spadł do gabinetu Komandora jak huragan.

– Długo byłem cierpliwy. A-ale ka-ażda cierpliwość ma swój kres, ta-ak!. Słuchaj, trzeba z tym skończyć! Proszą mnie: „Da-aj trzy kilo energii”. Nie ża-ałuję, da-aję. A-a one biorą półtorej tony! Po co mnie oszukiwać” Nie mogą poprosić, ile trzeba? Poprosiły dziesięć tysięcy ton. Da-ałem. A-a one wzięły trzysta tysięcy!

– Trzysta tysięcy? – zamyślił się Komandor. – Niedawno gdzieś widziałem tą liczbę… Czekaj no, ty mówisz o siostrzyczkach?

– Oczywiście że o nich! Smoki biorą tyle, ile im potrzeba. Mówiłeś, że siostrzyczki ma-ają procesory za-amiast mózgów. Dla-aczego więc nie unią liczyć?

– Po co im aż trzysta tysięcy ton energii? Coś mi się to wydaje podejrzane. – Komandor zaniepokoił się i postawił uszy na sztorc.

Nikt się nie spodziewał, że „Huragan czasu” wróci tak szybko. Minęło nieco ponad trzy lata. Ale korpus gwiazdolotu stracił blask i w ogóle wyglądał, jakby zanurzono go w kwasie.

– Panie Lestok, czyżby pan spotkał obłok pyłowy i zawrócił? – pytała Ziemia.

– Zrealizowałem pełny program. Doleciałem do wyznaczonego punktu i zawróciłem. – odpowiadał ponuro Lestok.

Gwiazdolot zacumował na stacji orbitalnej, wszystkie materiały naukowe wysłano na Ziemię, ale nic się nie wyjaśniło. Najdokładniejsze chronometry wskazywały, że minęło dziesięć lat, świadczyło o tym także wytarte poszycie statku. Na Ziemi jednak minęły tylko trzy lata.

Gdy Lestok wylądował na Ziemi, przy wejściu do budynku kosmodromu czekała na niego młoda kobieta w woalce z dwuletnim bobasem na rękach.

– To twój tatuś. Pomachaj mu rączką.

– Rosemary!?? – Lestok zamarł wpół kroku.

– Widzisz, jakie to czarujące? – Miri-two trąciła siostrę łokciem. – Wszystko się udało i rodzina się połączyła. Czyż nie jesteśmy zuchy?

– Może wybaczymy? – rozległ się za ich plecami bas Komandora. – Bądź co bądź połączyły rodzinę.

– Ba-ach! Jeśli na połączenie każdej rodziny będą tra-aciły trzysta tysięcy ton energii, wszystkie gwia-azdy zga-asną! Przecież ty nie prosiłeś mnie o trzysta tysięcy ton, kiedy od ciebie odeszła Węgielek.

– Wtedy jeszcze nie było stacji przy Kwantorze – powiedział z westchnieniem Komandor.

Siostrzyczki objęły jedna drugą, skuliły się w wystraszoną bryłkę.

– Popatrz no, a-ale się przestraszyły! – szalał Karapet. – Ta-ak mnie oszukać!

Komandor znowu ciężko westchnął.

– Dziewczynki, znowu oszukałyście Karapeta. Przyznajecie się do winy?

– Tak, papo, ale już więcej nie bę…

– Wybierzcie sobie pokutę.

– Może być praca społeczna? Trzy dyżury poza kolejnością. Obieranie kartofli w stołówce na Kwantorze.

Komandor spojrzał pytająco na Karapeta.

– Tylko trzy dyżury?! – ryknął Karapet – Tydzień lub więcej!!! Po kartofelku za kaażdą tonę masoenergii! – I wyszedł, pałając gniewem.

Komandor pogłaskał siostrzyczki po główkach.

– Tak, maluchy, za swoje czyny trzeba odpowiadać – powiedział i także wyszedł.

– I po strachu!!! – wykrzyknęły obie równocześnie.

Miri-two wyciągnęła w przód obie ręce, a Miri-one trzepnęła ją po dłoniach.

– Dobrze jeszcze, że nie odkryli naszych lotów w przyszłość – powiedziała.

– I w przeszłość – dodała Miri-two. – Miałaś świetny pomysł z tym zdublowaniem także maszyny czasu Lobasti.

A w siedem lat po powrocie pierwszego statku z dalekiego kosmosu wrócił drugi „Huragan czasu” z drugim Lestokiem na pokładzie. Wyglądał lepiej od poprzedniego, gdyż leciał tylko trzy lata. Najlepsze umysły planety głowiły się nad zagadką rozdwojenia gwiazdolotu. W którym momencie to nastąpiło? Gdzie przyroda znalazła trzysta ton materii na drugi statek?

Oprócz komisji uczonych i miejskiej elity w budynku kosmodromu Lestoka powitali Rosemary, pierwszy Lestok i czwórka ich dzieci. Najstarsze, chłopiec, obejrzało dokładnie obu astronautów, jakby ich widziało po raz pierwszy.

– Mamo, który z nich jest moim ojcem?

**Walrus**

**Bajka VII, nieco detektywistyczna**

**NASZ PAROWÓZ LECI NAPRZÓD**

(opowiada Julin)

Bolan otrzymał ze swojego świata dobrą wiadomość: fizycy wreszcie skończyli swoją konstrukcję zero-t według „smoczego” wzoru i przeprowadzili pierwsze udane eksperymenty z przesyłkami. I od razu ustawiła się kolejka zamawiających, wszystkim nagle nowe „okno” zrobiło się po prostu niezbędne: rozjaśniaczom do wysyłania w kosmos swoich luster, morenistom do wyjmowania z dna oceanu bloków skał osadowych, z których mieli budować wyspy; i nawet konserwatorzy wymyślili dla niego zastosowanie przy głębieniu ich szybów. Z jednej strony to cieszyło, gdyż jeśli naród się przebudził i zaczął robić wynalazki, to oznaczało, że wysiłki Bolana nie poszły na marne, z drugiej jednak może ktoś im te pomysły podpowiedział, a życie tak naprawdę stoi w miejscu?

Na wszelki wypadek Bolan przepytał cały swój zespół oraz przeskanował jego korespondencję z rozmowy z rodzinami i znajomymi, zaś Mrok na jego prośbę sprawdził wszystkie smoki, które choćby teoretycznie mogły wpłynąć na ten zryw twórczości. Wyglądało na to, że nikt nie podpowiadał, ani celowo, ani przypadkowo. Mimo to, dla pełnego spokoju, do ojczystego świata wybrała się grupa zwiadowcza, z jedynym zadaniem: postawienia kropki nad „i”. W jej skład weszłam ja, jako inżynier, Titran, jako doświadczony tropiciel oraz wiercipięta Irawi, która, jak się okazało, mogła znaleźć wspólnych kuzynów chyba z każdym mieszkańcem planety. W każdym razie szybko ich znalazła i u konserwatorów, i u morenistów.

Przez trzy dni Bolan pewnie udawał, że się nie niepokoi, ale gdy wróciliśmy do bazy czwartego dnia wieczorem., nie wytrzymał i wraz z Iliną wyszedł na spotkanie na dworzec zero-t.

– Udało się? – zapytał.

– W Departamencie nas nie lubią, ledwie przedostaliśmy się do Wpływowego Sekretarza. Następnym razem włożę egzoszkielet i wezmę pistolet na grubego zwierza z pociskami usypiającymi. – odpowiedziałam.

– Co, biurokraci?

– Aż sił brak. Chcieli nas zatrzymać na tydzień w kwarantannie, ledwie się przed tym obroniliśmy. Z Wpływowym załatwiliśmy w parę minut, ale zanim do niego trafiliśmy, a potem wyszliśmy na wolność…

– To nic, niedługo wszystko się zmieni. Opowiedz mi w dwu słowach, co znaleźliście.

W dwu słowach się nie udało. Rozjaśniacze oczywiście pamiętają Bolana, bynajmniej go nie kochają, ale szanują, a Julin powitali ciepło, prawie z kwiatami. Portret Bolana wisi u nich na zaszczytnym miejscu, razem z bogatymi sponsorami, pokryty grubą warstwą kurzu, ale jeszcze można rozpoznać. Konserwatorzy nie darzą Bolana sympatią, większość nawet nie wie, kto to jest, ale znaleźli się wśród nich byli koledzy Julin ze studiów. Za to moreniści doskonale Bolana pamiętają i bardzo, ale to bardzo nie lubią. Rozmowa z nimi się nie udała. Titran musiał aż poprosić o pomoc swoich byłych kolegów z grupy „Finisz” (Osobiste pozdrowienia dla Bolana od Watmy!). W każdym razie nie wykryto żadnych śladów ingerencji smoków. Projekt rozjaśniaczy był w brudnopisie gotowy jeszcze przed pierwszą wysyłką implantów, kiedy myśleli, że fizycy lada chwila nauczą się adresować Okno. Inżynierowie rozjaśniaczy uważnie czytali wszystko, co Bolan komunikował o technice smoków i na podstawie tego dopracowali swój projekt. Moreniści napatrzyli się na usuwanie tarczy lodowej z bieguna („Ech, bez podpowiedzi tam jednak się nie obeszło” – mruknął pod nosem zmartwiony Bolan). A konserwatorzy mają wspólnych przyjaciół i w Departamencie Implantacji, i u morenistów. Departamenty kłócą się, ale szeregowi inżynierowie lubią porozmawiać sobie przy kielichu. Taki niewielki „klub marzycieli”.

Bolan zanotował sobie w pamięci to kółko zainteresowań. Chłopcy mogą być ciekawi.

– No dobrze, idźcie odpocząć, jutro porozmawiamy bardziej szczegółowo. Julin? Chcesz czegoś? Co to jest?

Od początku rozmowy próbowałam wręczyć Bolanowi grubą i ciężką aktówkę. Udało mi się to dopiero teraz.

– Nowy projekt rozjaśniaczy. Pospierali się i ich Departament prosi nas o sprawdzenie jego jakości.

– Nas czy smoki?

– Oni nie wierzą w anioły-smoki. Wprost tego nie mówią, ale dali do zrozumienia, że doceniają żart.

Bolan oczywiście od razu zajrzał do aktówki. Na wierzchu leżał oficjalny list, opatrzony wieloma pieczątkami i podpisami, a pod nim była kaseta z modułem pamięci, stosik złożonych arkuszy z jakimi planami oraz dużo drukowanych komputerowo kartek, zszytych w oprawiony foliant z napisem na oprawie „Koncepcja”.

Bolan miał wykształcenie techniczne, więc umiał czytać plany, ale nie lubił tego. Dlatego najpierw otworzył „Koncepcję” i okiem znawcy przejrzał pierwsze strony, po czym ułożył wszystko dokładnie tak, jak było i zwrócił mi ze słowami:

– Chciałbym zobaczyć miny smoków, kiedy to przeczytają.

– Tu obok jest Timur, który akurat jest inżynierem budownictwa kosmicznego – zauważyła Ilina. – Właśnie omawia coś technicznego z Benem i Artiomem w sali ekranowej.

– Aha, Timur? To będzie ciekawe. To będzie bardzo ciekawe. Chodźmy do nich.

I wybrałyśmy się na spotkanie ze smokami.

Trójka skrzydlatych spierała się o coś gorąco, stojąc pośrodku sali. Złapałam coś o „pozycji spalonej”, „systemie 4–4–2” i „pomyłce obrony”, nic z tego nie zrozumiałam, Bolan chyba też, ale nie chciało mu się tracić czasu na wyjaśnienia. Zwrócił się od razu do Timura:

– Szanowny smoku Timur! Jako przedstawiciel rządu mojego narodu proszę pana o przeprowadzenie niezależnej ekspertyzy technicznej nowego projektu rozjaśniaczy.

Timur nieco się speszył tak oficjalną prośbą, ale zaraz wziął z rąk Julin aktówkę, nie wiadomo po co obwąchał ją i – otworzył.

W odróżnieniu od Bolana, smok zaczął najpierw rozwijać rysunek. Wyglądało to na jakąś sztuczkę. Widocznie Timur pierwszy raz trzymał w łapach cienki pejperol, gdyż arkusz ciągle się rozkładał a oczy smoka robiły się coraz większe i większe. Bolan uśmiechnął się mimo woli. W końcu zrobiło się spore prześcieradło i wszystkie trzy smoki pochyliły się nad nim prawie dotykając je nosami.

– Tak – powiedział wreszcie Timur. – To wygląda na rakietę. Tu jest zero-latarnia, a to wygląda na zero-komorę do tankowania.

– „Okno” – poprawił Artiom. – Jeśli to robiły jaszczury, to na pewno „okno”.

– Tak – potwierdziłam. – To odbiorcze „okno”.

– Jasne. A czemu nie ma reszty systemu paliwowego? I tylko jeden bak? – zapytał Artiom.

– Poczekaj! Prosto z baku… I dysza reaktywna. Tak-tak… „Okno”… Już wiem! To nie jest zero-tankowanie. Oni cały system paliwowy: zbiorniki, wtryskiwacze i tak dalej – zostawili na starcie! „Okno” na wylocie komory spalania – i płomień przez zero-t prosto w dyszę rakiety. Sprytne!

– Timur, a czemu myśmy tak nie robili? – zapytał Benedykt. Timur chwilę pomyślał.

– Ależ to jasne. Zero-zaopatrzenie wymyślili ludzie, jeszcze na Ziemi-I. A oni mieli na początku duże problemy ze stabilizacją zero-t. Mniej więcej stabilnie pracowało tylko dwukomorowe zero-t. A kiedy Komandor wynalazł jednokomorowe, dawno już mieliśmy antygrawy, więc już nie trzeba było wynajdywać nic nowego. No dobrze, Julin, wyprowadzacie rakietę na orbitę, a co dalej? Tu nie ma przecież żadnej ładowni.

– A dalej przez to samo „okno” wrzucamy orbitalną zero-latarnię, a właściwie kwadratową ramę z czterema zero-latarenkami w rogach – odpowiedziałam. – Na ziemi składają ją w pakiet i obwiązują taśmą, żeby się nie otworzyła; a gdy się znajdzie na orbicie, wysyłają komendę, automatyczny nóż rozcina taśmę i rama sama się rozkłada na sprężynach. Otrzymujemy duże „okno”, przez które można wysłać gotową małą stację orbitalną albo fragmenty dużej, spawane automatami. A rakieta leci dalej, na księżyc albo w kierunku innych planet.

Smoki popatrzyły jeden na drugiego.

– Po co rama? „Okno” można przecież umiejscowić na sygnał zero-latarni rakiety . Którejkolwiek. – Timur pokazał na planie. – No i w samej rakiecie aż tyle zero-latarń nie potrzeba, zupełnie wystarczą cztery.

– Żeby się nie przegrzały – odrzekłam. Bolan zrozumiał, że czas się wmieszać.

– Panie Timurze, widzę więc, że w zasadzie zgadza się pan przeprowadzić ekspertyzę?

– E-e-e? Tak, jeśli nie będę nad tym pracował sam.

– Nie mamy nic przeciwko temu. Nie musi się pan śpieszyć, ale lepiej skończyć przed jesienią. Zdąży pan?

– Tak, na pewno.

– To wspaniale.

– Bolan, Julin, zaczekajcie. Mówiliście, że chcecie wypuszczać gotowe stacje z lustrami, odbijającymi promienie słoneczne. Ale jak, skąd? Czyżbyście mieli już wielkie bieguny?

– Oni myślą o wypuszczaniu stacji ze startu Departamentu Implantacji. Sekcje lustra włożą do kapsuł, kapsuły połączą w „pociąg”. W kosmosie ten pociąg sam skręci się w koło, kapsuły dokładnie się zetkną, po czym otworzą się segmenty lustra, które połączą roboty. A żeby skorygować orbitę i zorientować stację, w czterech kapsułach będą zamontowane takie oto silniki – wskazałam palcem inny, rozwinięty w międzyczasie, plan.

Artiom siedział z przyciemnionymi okularami na oczach i zapewne coś gorączkowo obliczał. Timur drapał się w kark. Benedykt zaś od początku rozmowy patrzył na jaszczury zdumionymi oczami, jak gdyby im też nagle wyrosły skrzydła. Ale nagle go poderwało.

– Bolan! A co z ekologią? Przecież pan pogrzebał projekt rozjaśniaczy właśnie z powodu trującego paliwa. A może ja czegoś tu nie rozumiem?

– Przy takim schemacie nie potrzeba specjalnego paliwa – odpowiedział Artiom, nie zdejmując okularów. – Wystarczy spirytus i tlen. Napęd znany na Ziemi już w środku dwudziestego wieku.

Bolan zorientował się, że jeszcze trochę, a smoki pobiegną dokładnie studiować projekt. Nie chciał opuścić najciekawszego, więc postanowił postawić kropkę nad „i”.

– Jeszcze prościej. Nie ma tam ani paliwa, ani spirytusu, ani tlenu. Tylko bardzo głęboki szyb, a w nim odpowiednio wygięta rura. Do jednego otworu nalewamy wody, ona podgrzewa się głęboko pod ziemią i na drugim końcu otrzymujemy przegrzaną parę o temperaturze pięciuset stopni i odpowiednim ciśnieniu. Absolutna czystość ekologiczna! Konserwatorzy obiecują nam cały kompleks szybów w zamian za pomoc przy ich głębieniu. Chodzi im głównie o usuwanie urobku przez zero-t.

Rezultat wart był trzech dni nerwowego czekania. Smoki przez ponad minutę nie mogły wypowiedzieć ani słowa, tylko stały nieruchomo z otwartymi pyskami. Potem je poderwało i zarżały na trzy głosy jak opętane. Tylko Benedykt zdołał jednak wykrztusić przez śmiech:

– Bolan! Możesz być pewny, że żadnemu smokowi czy poważnemu człowiekowi nie przyszłoby do głowy lecieć w kosmos parowozem! [[2]](#footnote-3)

Kontynuacja nastąpi?... Być może...

Zapraszam ewentualnych czytelników – jeśli mają jako taki talent literacki i zdołają dobrze wczuć się w ten świat – do pisania własnych opowiadań związanych ze światem smoków i przesyłania ich na adres [izworski@poczta.onet.pl](mailto:izworski@poczta.onet.pl)

1. Trójgłowy, przeważnie bardzo mądry i sympatyczny smok z ludowych bajek rosyjskich. [↑](#footnote-ref-2)
2. W początkowym okresie fantastyki ( XVII – XIX w.) było trochę utworów fantastycznych o takiej tematyce, najbardziej znany z nich to „Tamten świat” Cyrano de Bergeraca. Ale można ich nie brać pod uwagę, gdyż wtedy nie znano wielu praw natury i zdarzało się nawet wykorzystywanie do lotów międzyplanetarnych… balonów. [↑](#footnote-ref-3)